

Rozmowa z „mistrzem ze Śląska”

Na obrzeżu miasta, za pofałdowanymi polami, jest ulica Szkolna, często ze ślepyimi odnogami. Przy jednej z nich mieszka skromny człowiek, którym powinni się szcycić nie tylko miejscowi. W nierzucającym się w oczy prostym budynku, przypominającym bardziej przerobioną stodołę niż dom mieszkalny, zamknięta jest alchemia drewna – rzeźby i słowa. Rosłej postury mężczyzna samotnie i najczęściej bezsłownie rozmawia tu z drewnem. Widzi jego słoje, uskoki i spływy łagodnie schodzące po kłocu.

W jednej części owego domu mieści się magazyn usztaplowanego drewna liściastego, wg gatunków, grubości oraz czasu leżakowania, a ten czas jest dla twórcy i dzieła nieobojętny. Nie może podjąć tej pracy, gdy w swym tonie drewno ma jeszcze soki żywotne, czy jest nieokorowane.

Potem są zmusne poszukiwania, penetracje dzieł starych mistrzów, przeglądanie różnych technik dawnych i tych stosowanych w nowszych czasach. Odbywa dość odległe wycieczki. Krąży po muzeach, galeriach, kościołach, pałacach, miasteczkach zagubionych. Na przykład w National Gallery w Londynie nieoczekiwanie znalazł podpowiedź, jak... ułożyć męską dłoń ujmującą miecz. A potem tę sugestię zastosował w jednej z ważnych swych rzeźb, nie prze czuwając wszakże, do czego będzie przydatne owo małe odkrycie.

Pracę lubi rzetelną, odpowiedzialną, bez fuszerki, by nie wstydić się i czewieni przed mecenasem sztuki i odbiorcą jego pracy. Nie lubi się przechwalać „odkryciami” i dokonaniem; po co komu one – niech samo dzieło chwali mistrza.

O kima zatem mowa? O Zygfrydzie Grossie. Nieopodal szczytu przy głównej drodze wiodącej od annogórskiego rynku, jak tu miejscowi nazywają ten plac, ma niewielkie pomieszczenie o charakterze sklepu – wystawy – galerii. Dominują wprawdzie rzeźby o tematyce religijnej, co nie znaczy, że tylko ten obszar kultury mistrza interesuje, ale takie głównie ma zamówienia.

Trzeba wdrapać się niedaleko na szczyt, wejść do bazyliki i spojrzeć tym razem nie na ołtarz główny, a za siebie – wręcz pod sklepienie, gdzie rozsiadły się organy, których prospekt (ten „cyferblat”, czy „twarz” instrumentu) z dominującymi ogromnymi piszczałkami zdobą śpiewające i grające anioły, zaś pośrodku nich patronka muzyki – święta Cecylia – delikatnie przyciska klawisze portatywu. Jeden z ostatnich aniołów, które tu „przyfrunęły”, gra na fagocie (instrumenty dęte były szeroko wykorzystywane w barokowej muzyce). Zwany „Aniołem z fagotem”, albo „Angelus Silesius”, ufundowany został przez pochodzącą z annogórskich stron żonę właściciela znanej w Europie firmy produkującej właśnie fagoty – pana Mollenhauera.

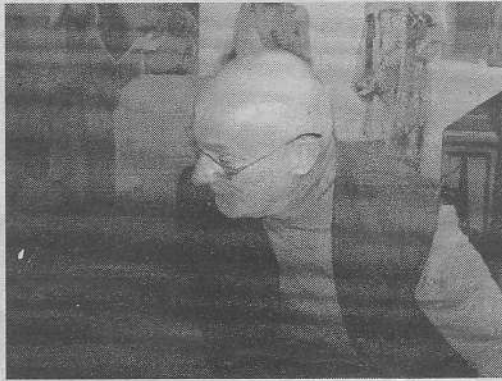
Wiele dzieł pana Zygfrйда na stałe

znalazło swe miejsce w różnych zakątkach Polski. Interesująca „Ostatnia wieczerza” dekoruje antepedium, czyli podnózek ołtarza głównego w Jaworznie. Dzieło to było też inspiracją kolejnej pracy w tym kościele – stacji Drogi Krzyżowej. Niedługo potem w kościele błogosławionej Karoliny Kózkówny w Tychach, na placu przed wejściem głównym umieszczono na stożkowatym ściętym cokole postać Chrystusa Króla, zaś symetrycznie z każdej strony poniżej – sporych rozmiarów medaliony w głębokim reliefie, a właściwie półrzeźbione postacie sługi Bożego Jana Pawła II, św. Faustyny, św. Maksymiliana Kolbego i bł. ks. Jerzego Popiełuszki. Mistrz ciekawie przedstawił samą postać Chrystusa Króla, mniej znaną z dotychczasowych wizerunków – jako króla o obliczu pociągającym widza łagodnym uśmiechem.

Innym przykładem własnych poszukiwań jest rzeźba św. Józefa. Odszedł i tu od znanego schematu – mężczyzny trzymającego w dłoni lilię. Lilia wprawdzie przytula się do poły sukni świętego, ale najważniejszy jest tu mały Jezusik, którego Opiekun mocno trzyma w spracowanych, zylastych dłoniach, pokazując Go światu. Święty Józef promieniuje radosnym obliczem szczęśliwego ojca ze swym małym Dzieckiem. W udrapowaniu samej sukni wykorzystuje artysta naturalnie biegnące słoje drewna, aby być w symbiozie z tworzywem, a nie przeciw niemu. Zresztą ten sposób łagodnego spadania linii zastosował w nowoczesnym przedstawieniu antycznego mitu o Trzech Gracjach.

Dla neogotyckiego kościoła Miłosierdzia Bożego w Tychach kończy mistrz dekorację rzeźb okalających tamtejsze tabernakulum i rzeźbi replikę pięknej Madonny z Kruźlowej, podobnie postać św. Franciszka. Tu, jakby natchnieniem do pracy był... zwyczajny pokój mieszkalny tamtejszego księdza proboszcza, przedtem misjonarza w Afryce, który ozdobił go postaciami Chrystusa i innej Madonny – z Czarnego Łądu. I nie ciemna karnacja przyciąga tu widza, a sam układ linearny rzeźb afrykańskich, konwenujących z kruźlowską Madonną i Biedaczną z Asyżu, które każą w kontemplacji zamilknąć obserwatorowi, a potem dopiero swoje doznania komuś opowiadać i komentować.

Miejscem, które w warsztacie mistrza przyciąga może najbardziej, nie jest wcale regał z dziesiątkami różnej wielkości rzeźb, czasami prób artystycznych, czy detali dekoracyjnych, a prosty, ustawiony pod oknem stół stolarski, zarazem biurko. Na nim ułożono ponad 50 dłut, dłutek, noży od misternych ostrzy po szerokie, zwykle łukowato wygiętych, wglębionych, wklęsłych, by służyć przy konkretnym



„Mistrz ze Śląska” – jak nazwano pana Zygfrйда – trafił do Warszawy trochę przymuszony do tego przez swego syna, który znalazł internetową informację konkursową. Początkowo wahał się. Jak to – do Warszawy? Mają przecież pod ręką same znakomitości, mówił, jeszcze mając jakieś wątpliwości. A jednak – wysłane zdjęcia m.in. barokowej dekoracji bazylki na modnym w tym okresie zdobniczym elemencie, jakim był liść akantu – a właściwie „pokrzywy rzymskiej” przekonały „wysoką komisję” (11-osobową, złożoną z rektora Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie, konserwatorów, muzeologów, historyków sztuki i teologów, pracujących choćby i dla Zamku Warszawskiego), iż rzeźby te powinien wykonać „mistrz ze Śląska”. Długo nawet wodził palcem po mapie, by „odszukać” Leśnicę, z której mistrz pochodził, przycupniętą do Góry św. Anny, bo o niej co nieco wiedzieli; ostatecznie taki przydomek mu nadali.

Ołtarz z fundacji królewskiej w końcu XVII wieku miał wcale dobry żywot przez kilka stuleci. Został jednak bestialsko ostrzelany przez Niemców zdalnie sterowanymi dwoma gołiatami samobieżnymi i ostatecznie spłonął 6 września 1944 roku w czasie Powstania Warszawskiego. Na szczęście zachowały się do naszych czasów ryciny, a nawet i fotografie, w tym i amatorskie sprzed wojny, stąd metoda fotogrametryczną „wywołano” z przeszłości całość i jego poszczególne elementy, co dało asumpt do wręcz idealnego powtórzenia pierwowzoru.

O leśnickim artyście historyk sztuki ks. dr Henryk Nadworowski z Poznania mówił skrótowo: „talent, perfekcja, kreatywność, które dzieło mistrza wpisało nie tylko w zaproponowany temat, ale także i konwencje stylistyczne. Nie zapominajmy jednak, że dokonane dopełnienie jest jednocześnie dziełem współczesnym, dziełem XXI wieku. Mistrz dokonał tu swego rodzaju symbiozy: ratio et ars et fides /rozumu i sztuki i wiary/”. Inny zaś historyk sztuki i konserwator dzieł sztuki prof. Jerzy S. Majewski mówił: „Ma niebawym talent. Jego rzeźby trudno odróżnić od oryginału XVII wieku, choć wykonał je w innej zupełnie epoce”.

Odwiedzając jego pracownię leśnicką przypominały mi się renesansowe uczy mistrzów, rozmowy traktu-